

**Kolbuszewski J. 1992 – Ochrona przyrody a kultura –
Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej,
Wrocław, wydanie drugie poprawione, ss. 209.
[ISBN 83-7091-000-9]**

Trafiła do mnie książka, którą niezwykle trudno scharakteryzować, jednoznacznie ocenić i polecić właściwemu czytelnikowi. Myślę, że jej powstaniu towarzyszyły dwie idee wyartykułowane przez Autora w różnych miejscach tekstu. Po pierwsze, ochrona przyrody jest przedsięwzięciem, które można realizować skutecznie jedynie w uwrażliwionym na przyrodę, wyedukowanym przyrodniczo społeczeństwie. Nasze polskie społeczeństwo ma jeszcze do odbycia długą drogę zanim zasłuży na to miano i dlatego trzeba stale, wszelkimi możliwymi środkami, bombardować jego sumienie i wyobraźnię. Po drugie, ochrona przyrody nie jest wyłączną domeną przyrodników–profesjonalistów. Ich bowiem argumenty są za mało nośne, by trafiły do przekonania elitom politycznym i kulturalnym, decydom, biznesmenom i intelektualistom. Dopiero współpraca humanistów, techników i ekonomistów piszących i działających na rzecz ochrony przyrody może podnieść skuteczność profesjonalnych zabiegów przyrodników.

Oba te spostrzeżenia należy uznać za trafne i cieszyć się, że idea ochrony przyrody ma w osobie Autora sojusznika kulturoznawcę, który – co ważne – nie jest amatorem–miłośnikiem piękna przyrody,

lecz posiada przygotowanie przyrodnicze i ma w swoim życiorysie wieloletni staż w Komitecie Ochrony Przyrody PAN. Czy jednak jego książka dostarcza obrońcom przyrody nowych argumentów, czy przysparza ideom konserwatorskim zwolenników z nowych kręgów, czy trafnie rejestruje stan przyrodniczej świadomości społeczeństwa, jednym słowem – czy spełnia funkcję, której przyrodnik oczekiwałby od sojusznika–humanisty? Otóż moim zdaniem – nie, co poniżej postaram się uzasadnić.

„Człowiek ma wobec przyrody więcej możliwości i mocy destrukcyjnych niż twórczych”; dlatego też tylko wtedy, gdy uzna, że zjawiska i obiekty przyrodnicze mają wartość kulturową, gdy wpisze obowiązek opieki nad przyrodą w swój kodeks kulturalny, ma szansę uratować ją przed zniszczeniem przez moce, które sam swą cywilizacją rozpętał. Taka jest główna myśl dwóch wstępnych rozdziałów recenzowanej książki; tak ja przynajmniej ją odczytuję i w pełni podzielam. Trudno mi jednak zgodzić się z dalszym wywodem Autora. Otóż jego zdaniem w świadomości współczesnych społeczeństw kręgu kultury europejskiej nadal, tak jak przed wiekiem, tkwi głębokie przekonanie, że kultura (rozumiana tu szeroko także jako cywilizacja) i natura to dwa przeciwieństwa i że ta pierwsza – bliska, przyjazna człowiekowi i go nobilitująca ma za zadanie chronić go i pomagać mu w ujarzmianiu tej drugiej – witalistycznie rozpasanej (nadmiar komarów), złowrogiej (powodzie i huragany), uprzykrzającej codzienne życie (mróz i śnieg utrudniający zapalenie i prowadzenie samochodu) i nawet nie przemawiającej do ludzkiego zmysłu estetyki (zwalone pnie, gęstwa i błotnistość pierwotnego lasu czy zielone piekło amazońskiej dżungli), bo nie przykrojonej do jego człowieczego wymiaru.

Dopóki więc – rozumuje dalej Autor – nie uświadomi się człowiekowi, że jego kultura wyrosła z natury i że przyroda jest mu niezbędna do zaspokajania jego potrzeb estetycznych, psychicznych, religijnych, a także czysto pragmatycznych, dopóty nie będzie on czuł się w obowiązku wzięcia przyrody pod ochronę, nawet jeśli na jego oczach zasoby przyrodnicze będą topnieć, ubożeć i ginać. Rozbudzenie tej świadomości, to zadanie dla humanistów. Z tego przekonania zrodziła się także ta książka.

Cała ta argumentacja Autora nie trafia mi do przekonania z dwóch powodów. U schyłku XX wieku żaden Europejczyk nie traktuje przyrody jako swego przeciwnika, a nawet więcej, za wszelkie jej kaprysy i anomalie w postaci suszy, powodzi, plagi os czy epidemii AIDS obarcza winą kulturę–cywilizację–technikę, bijąc się w piersi i powtarzając „mea culpa”. Wie bowiem, że całkowicie „wynaturzył” przyrodę, wie także, jak naiwna była jego wiara w to, że „co technika zniszczyła, to technika naprawi”. Myślę więc, że argumenty Kolbuszewskiego zaczerpnięte z historii literatury, zwłaszcza z początków naszego wieku, kiedy to dychotomia kultury i natury była najgoręcej dyskutowana, są dziś po prostu nieaktualne. Po drugie, jako przyrodnik gotowa jestem sądzić, że człowiek prędzej i dotkliwiej odczuwa, że nie zaspokojone są potrzeby jego zwierzęcej natury, a dopiero później zauważa, że cierpią także jego nie zaspokojone odczucia estetyczne, psychiczne i religijne. Dlatego też przy obecnym stanie naszego środowiska za znacznie bardziej skuteczne w pobudzaniu społecznej świadomości przyrodniczej uważam argumenty odwołujące się do wizji głodu, chorób, bezpłodności czy przedwczesnej śmierci – jednym słowem argumenty biologów i lekarzy – niż argumenty humanistów, socjologów, psychologów czy estetów. To nie znaczy, bym tym drugim odbierała prawo wypowiedzania się na temat ochrony przyrody, powinni jednak celniej dobierać argumenty i przedstawiać racje.

Dotychczasowa moja polemika z Autorem ma jednak charakter subiektywnych poglądów na idee przyświecające mu przy podjęciu trudu napisania książki. Pora jednak przejść do zrelacjonowania jej zawartości. Książka, jak pisze we wstępie sam Autor, nie ma charakteru monograficznego. Dopiero jednak po wczytaniu się w jej treść (bo nie po lekturze „Spisu treści”) można się zorientować, że składa się ona z trzech niezależnych artykułów, wtórnie złączonych w jedną całość i opatrzonych wspólnym tytułem, obiecującym więcej niż w książce można znaleźć. Trzy rozdziały książki: „Ochrona przyrody a tradycje romantyczne”, „Dziedzictwo pozytywizmu i naturalizmu” oraz „Od antyurbanizmu do obrony piękności krajobrazu” łączą się w ciekawe skądinąd opracowanie na temat przyrody w literaturze

polskiej na przestrzeni dziejów. Ci, którzy nie pamiętają ze szkoły średniej, że Mickiewicz, Orzeszkowa, Kasprówic i Asnyk byli mistrzami w opisach urody Świtezi, Niemna i Tatr, oraz że opisy przyrody spełniały inną rolę w utworach romantyków niż pozytywistów, mogą sobie odświeżyć pamięć. Nie mnie oceniać dogłębnosc tego opracowania ani jego oryginalność, mogę natomiast stwierdzić, że nie ma ono nic wspólnego z ideą ochrony przyrody, a tym samym z tytułem książki. Potem u Żeromskiego, Reymonta i im współczesnych pisarzy pojawia się pejzaż miejski i przemysłowy z rozdartą sosną, fabrycznymi dymami, stęchłymi gliniankami i cierpiącymi na choroby zawodowe robotnikami. To tu upatruje Autor początków „powieści ekologicznej”, choć – jak sam twierdzi – trudno jeszcze doszukać się idei ochrony przyrody. Te pojawiają się w publicystyce polskiej w końcu XIX wieku jako echa prac Anglika Johna Ruskina, którego można uznać za pioniera światowej myśli obrony przyrody i jej piękna przed szpetotą cywilizacji.

Druga dobrze dająca się wyodrębnić z książki całość, to opracowanie poświęcone postaci i dziełu Jana G. Pawlikowskiego, zawarte w rozdziale „Kultura a natura Jana Gwalberta Pawlikowskiego”. Przybliżenie współczesnemu czytelnikowi sylwetki prekursora polskiej myśli ochrony przyrody i jego pism z lat 1913–1938, uchodzących za biblię konserwatorów przyrody, należy uznać za pracę bardzo pożyteczną, zwłaszcza w sytuacji, gdy – z niejasnych dla mnie przyczyn – pisma Pawlikowskiego były w powojennej Polsce aż do lat 1986–1987 bardzo mało znane, a w poważnych opracowaniach traktujących o rozwoju ochrony przyrody nie padało nawet jego nazwisko. Czytając ten rozdział można się zachwycić nowatorstwem myśli Pawlikowskiego, np. jego widzeniem spraw ochrony przyrody w kategoriach pokoleniowej odpowiedzialności za pozostawiane potomnym dziedzictwo. Można też ze smutkiem skonstatować, że problemy, z którymi borykał się w swej ochraniarskiej działalności w okresie międzywojennym, są nadal przerażająco aktualne, m.in. niska przyrodnicza świadomość ogółu czy niedostrzeżenie przez awangardę polityczną, zajętą sprawami świeżo odzyskanej niepodległości, potrzeby działań na rzecz ochrony przyrody. Jednak mimo refleksji, do których pobudziła mnie lektura rozdziału Kolbuszewskiego, nie dostrzegam dla niego miejsca w tak zatytułowanej książce.

Wreszcie ostatnia część książki, znów stanowiąca odrębną całość, to krótki esej pt. „Stereotypy masowej wyobraźni”, w którym Autor dzieli się z czytelnikiem uwagami na temat największych zagrożeń dla polskiej przyrody i przyczyn stale pogarszającego się jej stanu. Należy tu pochwalić Autora za to, że nie będąc przyrodnikiem tak dobrze orientuje się w tych zagadnieniach, dostrzega istotne problemy i stawia prawidłowe diagnozy. Tyle, że poza urodą narracji i lekkością stylu nie czuje się tu pióra humanisty, bowiem w warstwie filozoficzno-kulturowej nie wniesiono tu nic nowego; żadnych argumentów, których nie używali przyrodnicy.

Reasumując muszę stwierdzić, że książka ta nie ma koncepcji, nie ma też adresata–czytelnika. Nie wypełnia luki, jaka zapewne istnieje pomiędzy przyrodnikami posługującymi się argumentami z zakresu nauki i filozofii przyrody a ludźmi o światopoglądzie i wykształceniu humanistycznym, do których te argumenty nie trafiają – nie oferuje bowiem żadnych innych poważnych argumentów.

Chcę jednak sprowokować czytelnika „WE”, by wziął tę książkę do ręki i rozsądził, czy rację mam ja, oceniając ją negatywnie, czy też racja jest po stronie takich autorytetów z dziedziny ochrony przyrody, jak prof. R. Olaczek (redaktor naukowy jej pierwszego wydania), prof. K. Zarzycki (recenzent) i Komitet Ochrony Przyrody PAN (sponsor pierwszego wydania), którzy przyczynili się do powstania tej książki; a także po stronie tych, którzy wykupili jej pierwsze wydanie i spowodowali ukazanie się drugiego. No więc – czy ta książka to niewypał, czy sukces?

Joanna Gliwicz